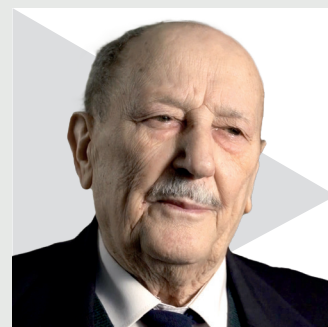


Marian Pawełczak

część III z III

Sygnatura notacji: **N0765**
Data urodzenia: **13.05.1923 r.**
Data nagrania: **26.02.2014 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Lublin, Polska**
Prowadzący rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**
Czas nagrania: **część I: 85 min, część II: 50 min, część III: 79 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Marian Pawełczak: Początek mojej działalności to zaczynał się od działania w konspiracji. W 1939 roku jeszcze udałem się do gimnazjum Kraśnickiego, liczyliśmy, że będziemy się mogli uczyć. Już Niemcy opanowali Polskę, ale próbowaliśmy tam jakoś jeszcze niektóre rzeczy kontynuować. I pewnego dnia tam dwóch gestapowców przybyło do dyrektora, porozmawiali, nas, chłopców ustawili w dwuszeregu na placu szkolnym, dziewczęta to pozostały gdzieś tam w sali, ich było mniej, i taki gestapowiec podszedł zadowolony, rozkoszniak, mówi: „Chłopaki, powiem wam fajną nowinę dla was, zamykamy wam budę. Niefajnie? Nie będziecie się musieli uczyć i to...”. Popatrzyliśmy na niego, na tę jego fajność, zamknęli, ale z miejsca profesorowie pozawiazywali tajne komplety, nauki. I one trwały bardzo krótko, bo tych profesorów po kolei aresztowali. I ja wtedy wróciłem do domu... A jeszcze pamiętam 11 listopada, to tak myślałem sobie: „To się musi coś wydarzyć”. Wyszedłem na ulicę i czekałem, kiedy się zacznie jakiś ruch z Niemcami, ale nie, wszystko spokojnie. Niemcy chodzą butni, nic z tego nie wyjdzie. To wróciłem do domu i tam taki tajny komplet zawiązał się ze strony dwóch ludzi, jeden mąż nauczycielki, ale z wyższym wykształceniem i brat innej nauczycielki, który tam, widać było, że woli omijać Niemców, mieszkał w pobliskiej wsi, w Ostrowie i oni zorganizowali taki tajny komplet. I pewnego dnia ten jeden z nauczycieli zaproponował mi wstąpienie do organizacji podziemnej pod nazwą KOP. To jest Komenda Obrońców Polski. Po zawiązaniu się Służby Zwycięstwu Polsce pod koniec września już na przełomie września, październik powstała ta organizacja prowadzona przez oficerów z Ochrony Pogranicza, którzy też działali jako KOP, ale Korpus Ochrony Pogranicza. A myśmy w rozwinięciu mieli nazwę Komenda Obrońców Polski. Moim zadaniem było sprowadzanie gazetek z Lublina. Tu przyjeżdżałem na dziesiątą właśnie, do tej dzielnicy i spotykałem się z taką Alusią Wracką, nawiasem mówiąc, piękną dziewczyną, na ulicy Skośnej numer pięć w bramie i ona mi przekazywała bibułę. „Polska żyje”, „Zemsta”. To ja przewoziłem. Jeżeli rowerem przyjeżdżałem

do Lublina, to wkładałem w kierownicę i tam tymi gumami to zamykałem, a jeżeli pociągiem, to pod paskiem przewoziłem. To było na takim cienkim papierze przebitkowym prawie, leciutkim, i to później żeśmy rozprawdzali po wsiach z przykazaniem, żeby to podawać dalej, żeby po prostu wzmacniać ducha w społeczeństwie, bo Niemcy się przecież wciąż chwalili swoimi sukcesami w tych szczekaczkach tak zwanych i w prasie tej niemieckiej, więc to było takie nasze przeciwdziałanie. I pewnego razu przyjechałem do Lublina, miałem iść na tę Skośną, ja mówię, że Bozia mi dała wspaniałego anioła stróża, on zawsze tam jakoś wykręcił mnie od niebezpieczeństwa, nie poszedłem od razu na tę ulicę Skośną, a tam był kocioł. Kocioł i aresztowania, i byłbym w ten kocioł wpadł. Bo zobaczyłem grupkę chłopców prowadzonych pod eskortą Niemca, żandarma z taką blachą i z psem szedł i granatowego policjanta, prowadzili ich z łaźni, z fabryki Wolskiego maszyn rolniczych, wykorzystywali tę łaźnię, tam był przegląd lekarzy, czy zdrowi są ci połapani ludzie i wywożeni do Niemiec, a byli prowadzeni do szkoły na ulicę Krochmalną, które to miejsce jest określone teraz jako filia obozu zagłady tego na Majdanku. I tam trzymali w szkole, a oprócz tego w baraku tych ludzi i później organizowali transporty do Niemiec. I spotkałem taką grupę chłopców prowadzonych i mówię tak, z boku idę: „Co z wami jest? Skąd wy jesteście?”. „A no z Hrubieszowa” któryś mówi, inny tam gdzieś z Chełma, z Łapanek. Mówi „Z Łapanek do Niemiec”. I jeden mówi: „Oj, jak się palić chce, żebyś tak coś skombinował”. I ja pobiegłem do kiosku i kupiłem Junaki, papierosy. Haudegen się nazywały. I przyniosłem paczkę, podaję temu chłopcu jednemu, a policjant ten granatowy mówi: „Odejdź tam! Gdzie wchodzicie?!” - do mnie. I jeszcze tak, to był mnie odgonił i byłby koniec, ale obejrzał się ten żandarm, zobaczył, pyta się tego policjanta, ale mówi: „Tu, o, kontaktuje się jakiś cywil”. A ten na mnie „Rein!”. Do środka wgonił mnie i później, jak żeśmy doszli do tej szkoły, wartownik stoi, a on tak chętnie mówi: „Ist ein freiwillig dekommen”. Jeden się zgłosił na ochotnika. Tak że mu przybyło, bo tamten liczył, czy wszyscy wracają. I tam po pewnym czasie nocą ulica taka zamknięta Krochmalna murami, przepędzili nas psy obok do pociągu i do wywózka. I wtedy wywieźli nas do Magdeburga, do Arbeitsamtu. Jeszcze jeden Niemiec to taki... Żartował chyba. Pokazywał taki budynek w ogrodzie tego Arbeitsamtu, mówi: „O tu to wasz... Piłsudski tu siedział. To był jego belweder”. Nie wiem, może, bo siedział komendant w Magdeburgu, może okresowo i tam był, bo były zabezpieczenia, mury. I stamtąd przewieźli nas grupą do cukrowni w Offleben. Tam na początku to brali nas do roboty w polu, bo jeszcze cukrownia nie ruszyła, przy burakach, przy sprzęcie, tam widziałem ten porządek taki niemiecki i jak oni umieli te rzeczy robić. Technicznie już był większy u nich postęp, że od razu dwa rzędy tych liści ścinali, później wyorywali tak samo dwa rzędy. No i... Później tam byli z nami Francuzi, jak ruszyła ta cukrownia, to już było takie inne trochę życie, bo sztuba, tam gdzieś mieszkali, była ogrzewana z cukrowni, woda doływała ciepła, ale skończyła się kampania, wywożą nas z powrotem do Magdeburga i kierunek do takiej miejscowości Wolmirsleben do kopalni węgla. Barak, obóz, ale taki pracy, nie tam jakiś karny, tylko... Warunki okropne. Chyba trzy- albo czteropiętrowe łóżka, trzeba było się wspinać, jak w górach. Bardzo srogi ten lagerführer, a najgorsze, jak budził nas na szczytę, czyli na tę zmianę, to nie ruszał się ze swojego pokoju, jeszcze pewnie spał, tylko przycisnął taki dzwonek przeraźliwy i my tu do mycia, ogłupiały taki człowiek, nie wie, co robić, niewyspany. A on tak z pół godziny tam dzwonił. I podwozili nas siedem kilometrów do takiej... Marbach, tam była kopalnia. Z tym że to chyba węgiel brunatny był, ale w takich kawałach, pamiętam i jedyne niebezpieczeństwo... W starych tych sztolniach to były... Tych gangach, chodnikach, to gaz się zbierał, ale przede wszystkim wodą podchodziło tam i zalewało. Pracowałem na takiej płycie, pewnie majster mnie tam ulokował, że wyglądałem mizernie, to mnie nie dał tam bezpośrednio do współdziałania z górnikami, a górnikami byli Niemcy, tylko ja tam wózkami rządziłem z bocznej strefy. Z bocznej strefy wciągałem na tę płytę i puszczałem po głównej linii, to na górę wyjeżdżało. Albo puste wózki ścigałem z górnego

toru i wysłałem górnikom. Jakoś tak się wydarzyło, że ktoś, zamiast pojedynczo wózki, to za piątym gdzieś zapiął. Chciał sobie robotę skrócić, a ja, jak ściągałem puste wózki z głównego toru, cokolwiek robiłem, to zarzucałem linę, która ciągnęła tę kolejkę na taką rolkę. Ale, jak pięć nadeszło wózków, to tu nie poradziło. Ja dzwonię do maszynowni, żeby wstrzymali, a Niemcy wtedy nie chcieli żadnych przerw, bo przecież dla frontu pracowali, to nie wolno. I tak wziął, zmniejszył, ale to trwało, tak że aż te wózki się wspięły na sufit tego chodnika, zaczęło to trzeszczeć, sypać się węgiel spod tych desek, i zawałiło się z 10 metrów tego. To wtedy maszyna stanęła, przybiegł majster: „Marian, was ist lost?”. On mnie tam znał. „Co się stało?”. Na ja mówię: „Ich Unglück geschah”. „Nieszczęście się stało”. Uuu i złapał się za głowę, pędzi po sztygara. A słyszałem o takim wypadku kiedyś, że taki sam obsługujący jak ja tę kolejkę linową, ale Ukrainiec... Nie, on tego nie spowodował, pękła tam lina. To przecież nie od niego zależało, ale przybiegł sztygar: „Das ist einer Sabotage!”, że to sabotaż, złapał od górnika kilof, rąbnął go w głowę, aż prysnął mózg i koniec. O, ja myślę, nie będę czekał na takie coś. I ruszyłem do windy, Francuz obsługiwał, a on nie widział, czy ja zielony, czy jaki, bo się zdziwił, że nie ma jeszcze końca szychty, a ja wychodzę. Bo ja mu powiedziałem, że mam tu kłopoty z żołądkiem. To tak nie mógł wiedzieć, bo tam tacy czarni żeśmy wychodzili z tej kopalni, umazani, no i... I on mnie wsadził do windy towarowej, gdzie tam wywoziło się deski, jakieś już połamane słupy i ja tak wyjechałem, do łaźni, w takiej gorącej wodzie się umyłem i pieszo do tego obozu w Wolmirsleben. Przyszedłem, chłopaki się patrzają, co to się dzieje. Tylko dwóch miałem zaufanych takich kolegów. Ja mówię: „Muszę uciekać tak i tak”. „Chłopie, ciężko będzie”. Ale zrobili zbiórkę od razu żywności, żeby mieć na drogę. Jeden mi znów dał ilustrowaną gazetę, Illustrierte Zeitung, mówi, jak będzie jakiś kłopot, coś, to sobie dziurkę taką zrobić jak Sherlock Holmes i będziesz przez tę gazetę obserwował, że niby czytasz. Dobra. A tu się już przygotowywałem do ucieczki, kupiłem taki płaszcz w kratę, wtedy modny w Niemczech. Od Duńczyka spodnie takie błękitne, a jeszcze... A, no i spakowałem tam swoje rzeczy do wyjścia, ale wchodzi lagerführer. A jeszcze miałem taki pakunek dodatkowy. On mówi: „Was ist passiert? Wo gehst du?”. A znał mnie bliżej, bo w związku z moją taką szkolną znajomością języka niemieckiego, ale wysłał mnie nieraz z nowymi ludźmi, jak przyszli, do magazynu, żeby pobrać odzież, obuwie. „Gdzie ty idziesz?”. Ale przyleciał... Bo mówi: „Zaraz szychta”. Ja mówię: „Tak, ale odnoszę bieliznę, tylko wpadnę do dziewczyn, tam dziewczyny były w majątku, oddam bieliznę i idę, wracam i jadę na szychtę nocną”. I on wtedy mówi: „No widzicie, bierzcie z niego przykład. Jak chce zachować czystość, o. Leci, jeszcze załatwia tę bieliznę. Fajno!” I ja wychodzę stamtąd na zewnątrz, to był już taki mrok, bo to na nocną tę zmianę miałem jechać i koledzy mi mieli podać walizkę przez okno z łaźni. Dobra, przychodzę, odebrałem tę walizkę, ruszam do furtki, patrzę się, a za furtką mój sztygar idzie. W mojej sprawie od razu wiedziałem. Więc tę walizkę w takie pokrzywy postawiłem, żeby nie widział, wracam z powrotem, już nie wchodzę do baraku. Jakiś kolega tam wyszedł z baraku, a ten sztygar tak przystanął, zanim poszedł do kancelarii tego lagerführera i tutaj obserwuje. A ja mówię do tego kolegi: „Co tu u was w Wolmirsleben słysząc? Bo ja tu z Marbach przyjechałem do was”. I ten usłyszał tę nazwę miejscowości, to jakaś taka obojętna rozmowa, poszedł do lagerführera. Ja wtedy cuga, no i na miejscu do pociągu nie, tylko znów ze trzy kilometry poszedłem na taką stację, i tam podchodzę: Jak tu kupić ten bilet? Może mnie rozpoznają? Ale słyszę, Niemki kupują: „Bitte eine nach Magdeburg”. Aha, bo ja bym tam poszedł i bym mówił: „Bitte geben Sie mir eine Fahrkarte nach, Magdeburg”, taką szkolną tę niemiecką, a tak już później osłuchałem się, podchodzę: „Bitte eine nach Magdeburg”. Ale ten coś mówi: „Sie sind Polaken? Polen?”. „Nein, Ich bin Slowake”. Koledzy mi powiedzieli, żeby się powoływać, że jestem Słowakiem, a oni przecież współpracowali z Niemcami i mieli lżej. I do pociągu, taka lukstorka była, dwa wagony, w jednym i w drugim motory, tak że motorniczy tam nie wekslował nic, tylko dojechał do jakiejś stacji, później wracał, to przesiadł

się na drugi motor. I jakiś wojskowy żegna swoją babkę, wsadził tam do tego, do wagonu, ucieszyłem się, że nie on jedzie, wszedłem do środka, patrzę, ale zdrętwiałem, na ławce tak siedzi dwóch w skórach. O cholera, myślę sobie, jakaś ta policja kryminalna czy coś, po cywilnemu. Ale nic, podchodzę do tej babki, ona już usiadła, pytam się: „Ist es ein freier Platz?”. „Może jest wolne miejsce?”. „Ja, ja, bitte”. Siadłem i cały czas truchleję. Myślę sobie, kiedy oni tu podejść mnie legitymować. Przejeżdżamy przez tę Marbach, tam, gdzie była kopalnia. Oni się podnieśli, przeszli na brek i jeden kiwa na mnie palcem. Ja myślę sobie, dyskretnie przed tę babką mnie załatwią. Wszedłem, a on mi na szyję, mówi: „Chłopie, co jest z tobą? Gdzie ty się wybierasz?”. Ja mówię: „To wy Polacy?”. „No tak! Bo, mówi, tak się zdarzało, że jak myśmy wchodzili do kopalni, to wyście wychodzili”. Nie, „Jak myśmy wychodzili, to wyście wchodzili i widziałem cię, jak wyglądasz”. Bo tak to zamazani byliśmy, nie tego. No, a ja mówię: „Muszę uciekać. Miałem i taką, i taką”. „Oj, nie wiem”. A ten drugi mówi: „Widzisz, taki młody smyk i pokazuje nam, co trzeba zrobić”. „No, nie wiemy, czy ci się uda”. I oni podpowiedzieli, żebym kierował się przez Magdeburg, Halle under Salle, później tam do Mysłowic, tam, że koniecznie mam wysiąść i do Trzebini dojść pieszo, bo to punkt graniczny. I chyba z nich jeden mi hakenkrojć jeszcze dał. Mówi: „Jakby była potrzeba, to sobie go tam przypnij”. Dobra, no i... Ale tak się złożyło, że w Katowicach nie było miejsca, wsadłem do wojskowego pociągu, pewnie tych, co jechali na front wschodni, na korytarzu, myślę, będzie jakaś kontrola wojskowa, coś, to wszedłem do środka, dwóch żołnierzy, jeden spał wyciągnięty na ławie, drugi tam zerknął na mnie, ja mu mówię, że nie ma miejsca dla cywilów, tak ciasno, bo jeden tylko był wagon, a tych ludzi masę. I to wszystko krzyczało po niemiecku. Ja myślę: „Z moją niemczyzną tam wejść?”. I tak na brek wskoczyłem, ale później, że mnie zobaczą z zewnątrz gdzieś Niemcy, to wszedłem do tego wojskowego. I usiadłem, ciepłutko, fajnie po tych przeżyciach, przysnąłem sobie, później się budzę, ten Niemiec nie śpi, ja mówię: „Ist es schon Mysłowic?”. „Czy może już są Mysłowice?”. „Nein, Mysłowice war schon da”. Już minęły, jest już Trzebinia. O cię choroba. Ale łapię za walizkę, wysiadam. Żebym może poczekał trochę? Nie wiem. Wysiadam i prosto na dwóch... Tych, tych żandarmów z ochrony kolei z psem. Przeszedłem koło nich i bezczelnie łapę do góry, „Heil Hitler!”. Odpowiedzieli mi. Minąłem ich, poszedłem kilkanaście kroków, ale czuję, że wiercą mnie wzrokiem. I woła jeden: „Hallo, Herr, kommen Sie hierher”. Woła mnie do siebie, „Ihre papiere”, pańskie dokumenty. A ja mówię: „Nie mam żadnych”. „Ach, bist du Vogel”, to ty taki ptaszek. I każą mi iść przed sobą. Pies obwąchuje mnie, idzie, o ucieczce nie ma mowy. No i na komorę celną. Tam odprawiał facet ostatnią jakąś kobietę, już jej kazał iść, a do mnie... Ale nie wiem, czy po polsku, czy po niemiecku, że nie mam żadnych dokumentów, to mam się rozbiierać. Dobra, a tu widzę na ścianie, różne wiszą przybory do bicia. Pejczy skórzane z plecionym ołowiem, gumy jakieś. Odchylił szufladę, patrzę, parabelka leży. Po moim wejściu zamknął na haki te drzwi, a ci żandarmi poszli dalej. No i zdjęłem jesionkę. Mówi: „Noch diner roch”, jeszcze cienką marynarkę. I ja ruszyłem, a tu miałem cały plik zdjęć z literą P, ale wśród tych zdjęć miałem taką legitymację pracy, bo ojciec prowadził jeszcze częściowo sklep i był zobowiązany do skupowania jaj i wymiany na cukier. Taka była [niezrozumiałe, 00:25:47] Zucker. Taką prowadzili sprawę. I ojciec wyrobił mi legitymację, że ja pracuję w tym skupie. Nigdzie nie pokazałem, jak mnie wywieźli, a tutaj przypomniałem sobie. Ja mówię: „Nie mam dowodu, mam tylko legitymację z miejsca pracy”. No to, żeby mu dać. Ja to wszystko wyciągnąłem, myślę sobie: „Boże, jak on ode mnie weźmie, zobaczy zdjęcia z literą P, koniec”. Ale on mi pozwolił, że ja wysuptałem, ten dokument mu dałem, a on mówi: „To dokąd chciał pan jechać?”. Przed tym było per ty, a tu teraz przeszedł na Herr. Ja mówię: „Do Mysłowic, tylko zasnąłem, byłem zmęczony podróżą”. I znów podpowiedź tego anioła stróża. Byłem na kursie zbieractwa jaj w Hamburgu, bo to była firma [niezrozumiałe, 00:26:57], jakaś tam spółka Hamburg. I on tak to ogląda, a po co ja jechałem do tych Mysłowic. A bo mam kolegę, który po kur-

sie obiecał mi, że mnie zatrudni razem tam, gdzie on pracuje. Tak? A jaki ja mam dowód, że do Mysłowic chciałem tylko pojechać? Ja do Jesionki, miałem wykupiony bilet do Mysłowic i podaję mu. No i szwab uwierzył. Nie wiem, czy szwab, czy to był Ślązak, bo później, jak siedziałem we Wronkach, rozmawiałem ze Ślązakami, to oni mówią: „To był nasz i uratował cię. Zobaczył, że chłopak polski, to mówi, miał podstawę, że tam mu coś pokazałeś”. Może i tak było. I wtedy wyszedłem na poczekalnię, że ja wracam do Mysłowic, a później trzeba mi się kierować w kierunku granicy. Nie wiem, czy już jestem na granicy, czy nie, nigdy nie byłem, ale idą takie dwie dziewczyny z rowerami, ja podszedłem do nich, jakoś człowiek tak do kobiet czuje więcej zaufania, mówię: „Uciekam z Niemiec, chcę się dostać do granicy, tylko nie wiem, czy dobrze idę”. A one buch te rowery i uciekają. Tam były częste prowokacje. Ale jedna odważniejsza wróciła się: „Dobrze pan idzie. Niech pan idzie, tam będzie wieś, tylko niech pan nie wchodzi do żadnego murowanego budynku, bo to Niemcy tam mieszkają”. I jak tak idę, idę, jeden budynek murowany piętrowy, drugi budynek widzę parterowy, ale też murowany, to też mogą być Niemcy, ale zza zakrętu, widzę, wychodzą, dwóch znów tych granicznych żandarmów i jeden tak pejczem sobie bije po cholewie buta, ale patrzą się w ziemię, pies przed nimi. O, myślę, może nawet to ci sami, ale najwyższy czas już zejść tu z drogi... I spojrzałem na ten domek, patrzę się, w oknie jest statua Matki Boskiej, taka niebieska. Kiedyś to takie było popularne, a szczególnie na Śląsku. I myślę sobie: „To katolicy”. Może i Niemcy, ale jakoś tam natknęło mnie, że tu może tak nie zginę. I w ten ogród do sionki. Ale myślę, w sieni nie mogę stać, bo tam ktoś zaniepokoi się z wewnątrz i będzie raban, a tu idą ci Niemcy. To zapukałem, ktoś mnie tam zaprosił do środka, wszedłem: „Guten Tag”, nie wiem, jak mi tam odpowiedziała ta kobieta, widzę z dzieckiem, rozejrzałem się, no dobrze, tu jakoś opanuję sytuację w razie czegoś. I mówię do tej kobiety: „Kannst du mir eine glas Wasser geben?”. Może pani mnie poczęstuje wodą? „Ja nie rozumiem po niemiecku”. A mówię: „Jak tak to, to i ja taki Polak”. Może przydługo opowiadam, tam w książce to ja szczegóły podaję. Udało mi się uciec, ale później Niemcy za mną zaczęli przyjeżdżać, taki jeden Reicher słynny z czarną wilczycą Norą, to jak złapał kogoś, co uciekł z junaków albo z Niemiec, to szczerzył jeszcze tym psem, pies szarpał i ubranie, i ciało człowieka, ale jakoś mnie nie złapali, umiałem z domu schodzić wtedy, jak jakieś takie było niebezpieczeństwo. Aresztowali brata i ojca za mnie, tak że, żeby ratować rodzinę... A, bo zażądali... Tam mama według podpowiedzi takiego trojhendera z browaru, gdzie pobieraliśmy piwo, zaniósła szwabom, tym, co aresztowali brata i ojca, wódki, szynkę jakąś, puścili, ale warunek, że ja mam się zgłosić i jak będzie list z Niemiec, albo do nich się zgłoszę, to będzie w porządku, to ojca i brata nie będą ruszać. I ja wtedy sobie tak wymyśliłem, skontaktowałem się z takim stryjeczny bratem lekarzem, on mi skombinował zarazki na jaglicę i miałem sobie zapuścić w oczy, jak będzie badała komisja, a oni się bali wszelkich takich zaraźliwych historii i zgłosiłem się niby ochotniczo, walnęli mnie na ten sam do Arbeitsamtu, na ten sam punkt rozdzielczy na Krochmalną. Też było ze mną źle, bo po pewnym czasie... Ale wcześniej, co było? Była ucieczka z baraku, chłopacy wycięli w dachu dziurę, uciekli i później Niemcy wpadli, walili nas, ja tam po piętach trochę dostałem, pod pryczę się schowałem, i żebyśmy tam nie mieli w głowie jakiejś ucieczki i wszystko takie zastraszone, ale dwóch chłopaków przyprowadzają, muzykantów, skrzypka i harmonistę, złapali ich na ulicy. Ja już byłem raz w Niemczech, mam plan co do siebie, to mówię: „Daj te skrzypki, popróbuję zagrać”. Zacząłem grać, to i ten harmonista nie wytrzymał, zaczął mi akompaniować. Chyba zacząłem grać „Na falach Dunaju”. W pewnym momencie cisza taka, a to szedł ten cały kierownik tego podobozu, popatrzył się, a on Ślązak chyba. Mówi: „No zaś, tak to mi się podoba. Ładnie grają, siedzita, jedzicie do Niemiec, nauczycie się zawodu, co to ucieczki jakieś to”. I on później mnie wezwał do siebie, zaproponował mi, żebyśmy zostali tutaj na punkcie rozdzielczym, będę miał swobodę wyjścia do miasta i będę tu grał z tym drugim grajkiem. Ja sobie myślę: „No tak, szwabie, wy będziecie Polaków

wywozić do Niemiec, a ja jeszcze będę przygrywał do tego". Ja mówię: „Nie, ja chcę jechać do Niemiec, zawód zdobędę”, tak jak on mówił. No, woda na jego młyn. I w porządku, poszedłem sobie do tej sali szkolnej z powrotem. Tego samego dnia woła mnie, dostał informację, że ja uciekłem z Niemiec. I mówi: „A, toś ty taki ptaszek, to muszę cię oddać w ręce władz. A czegoś ty uciekł stamtąd? A ja mówię: „Ja jestem chłopakiem pól, lasów, świeżego powietrza, tam mnie wywieźli do kopalni, czułem się jak w grobie”. I mówię: „Żebyście mnie wywozili dziesięć razy, to ucieknę”. A miał taką piwnicę, gdzie jak ktoś był podpadnięty, to tam musiał schodzić i zamykali, tak jak piwnica na kartofle na kłódkę. Myślę sobie, no wyląduję na tej piwnicy, ale pozwolił mi pójść tam do tej sali z powrotem. To myślę: „Nie jest tak źle”. Woła mnie później za jakiś czas, mówi: „Będzie transport do Lubeki. Chcesz jechać do Lubeki?”. Ja mówię: „Tak! No, trzeba tu koniecznie”. Tutaj to cała jaglica, nie zdało to egzaminu, na tej komisji mnie odebrali i mam jechać, to teraz się chcę wyrwać, może coś będzie. I później transport, w pociągu już jesteśmy tam sfłoczeni, jakiś kolejarz tam ze mną rozmawia, im to jeszcze pozwalali podejść i później niby rękę mi podaje, i wsunął mi coś takiego twardego w papierze. Ja później patrzę, a to jest klucz od drzwi. I otworzyłem te drzwi już w Stasinie, ja mówię, kto chce, niech ucieka, i chłopaki zaczęli skakać, ale nasi dawni sojusznicy, Litwini, eskortowali tam na brekach z karabinami maszynowymi. O, byli zupełnie inni. Myślę sobie, to nie ci z Unii Lubelskiej. Tak że tam kilku chyba chłopców skorzystało, ja nie uciekałem, bo miałem cel, żeby legalnie wrócić. Wywieźli mnie do tej Lubeki, tam w obozie takim byłem pod nadzorem wojskowym, symulowałem chorobę. Wypytałem kolegę z moich stron, był z Wilkołaza tam z kraśnickiego, mówię: „Zygmunt, jak tu się udało? Udało się komuś zwolnić?”. Mówi: „Tak, bo tu niedawno to zwolnili takiego, co sikał w łóżko i w spodnie”. Aha. Mówi: „I ja symuluję”. „A jak ty symulujesz?”. „A piję herbatę robioną z tytoniu, a palę herbatę”. No, czułem, że to nie bardzo takie zdrowe, to ja mówię: „Wiesz, co, to ja będę sikał”. I tak spaliśmy w jednym łóżku, a sikaliśmy obydwa w drugie. Po pewnym czasie ja mówię: „Zygmunt, już możesz zgłosić”. Zgłosił, że tam śmierdzi tego, ja wracam z roboty, a tu moje łóżko wywalone, siennik. I tam wachman mówi: „Co się dzieje?! To jest sabotaż pewnie jakiś. Symulant!”. Ja mówię: „Nic podobnego”. A już się przygotowywałem do tego i tak miałem paczkę przesłaną ze słoniną, to kolegom oddałem, mąkę też, oni sobie tam kluski robili, ja mało co jadłem, więcej piłem i tak zmieniłem się na takiego łajzę. Koledzy się dziwili, bo była tam orkiestra, grałem na skrzypcach, to jeszcze na początku salto zrobiłem, to na rękach pochodziłem. Jeździliśmy do Travemunde, czyli ujścia Drawy do morza, pływałem, a tu naraz taka łajza się zrobiła. Ale lekarz wojskowy, grubas, taki potężny chłop, też na razie za symulanta mnie tam podał, ale ja mu opowiadam, jaki ja nieszczęśliwy od dziecka, nigdy nie umiem zapanować, tego. Wydzielili mnie do oddzielnego baraku, tam miałem tych łóżek ze 60, ale w jedno sikałem, oni sprawdzali, co rano, czy tam jest jakiś kał. I ten lekarz na razie na mnie z krzykiem, a później pewnego dnia poszedłem i mówi: „No dobrze, nie masz się co tu męczyć, to tam wracaj, wracaj, pracuj na roli dla Niemiec”. No i wzywają mnie do takiej... Tam, gdzie ci wojskowi nadzorowali, taką budkę mieli i wzywa mnie, pyta się o stację docelową w Polsce. Podałem Wilkołaz. Ach, szczęśliwy, idę ledwo, ledwo, ale tu się nie mogę pochwalić, ale tego kolegę, co mi tam to doradził, Zygmunt taki, zawołałem za barak, ściskam go, chłopie, mówię: „Cholera, jadę do Polski!”. On później też przyjechał, zwolnili go, ale wpędził się w jakąś chorobę płuc tym swoim symulantwem. Odwiedziłem go już jako partyzant. Przeszedłem do niego do domu, to już leżał biedny, już się nie mógł... Nie mógł chodzić i zmarł wkrótce. Wróciłem do domu, legalnie, wszystko dobrze, ale coraz tam ten żandarm i z policjantem takim granatowym Flaszecki się nazywał, ten tak wiernie współpracował z Niemcami, wpadają, chcą mnie zobaczyć po prostu. A oni chcieli kontynuować sprawę za to, że uciekłem. I musiałem się kryć, myślę sobie: Boże, mam się kryć, a tak narażać ludzi za darmo, to trzeba działać przeciwko Niemcom. Poszedłem do partyzantki, pytałem takiego kolegę, on był

w BCh, mówię: „Jakie tu oddziały są partyzanckie?”. „A no, NSZ-u, »Zęba«... „A co to jest NSZ?”. „Narodowe Siły Zbrojne. Oni trochę biją się z Niemcami, a więcej z AL-owcami”. „A co to AL-owcy?”. „No to ci podlegli Moskwie. Trochę się biją z Niemcami, a cały czas z NSZ-owcami”. A mówię: „Nie ma takiego czystego wojska?”. „No jest taka. I oddział »Zapory« tutaj”. No i tak dołączyłem z kolegą „Modrzewiem”. A „Modrzew”, i tu nawiążę do tych pseudonimów, bo najsampierw w konspiracji miałem pseudonim „Tarzan”. Tak mnie koledzy nazwali, bo mnie pamiętali, jak mówiłem, to była drużyna, przecież u „Grzechotnika”, tych moich kolegów z gimnazjum, pamiętali mnie, że salto robiłem, na rękach chodziłem, na drzewa super, to Tarzanem mnie ochrzcili. Ale teraz idę do oddziału, trzeba zmienić pseudonim. I idziemy, ja mówię: „Władziu...”. Do tego kolegi, Władzio Winogrodzki. To był wysiedlony z Włocławka. Mówię: „No, musimy pseudonimy sobie obrać, ja nie wiem jaki”. A on spojrzał tak, morwa rośnie u gospodarza w ogródku. Mówi: „Wiesz co, ty czasem to bywasz taki słodki, to ja cię chrzczę Morwą”. „No dobra”. Krótki, zwięzły pseudonim, fajno. Ale on mówi: „Teraz ty się mnie zrewanżuj”. Patrzę dalej, przy następnym gospodarstwie rośnie modrzew, a ten Władzio był taki smukły, wysoki chłopak. „O, mówię, a ja cię chrzczę Modrzewiem”. I tak żeśmy zostali. On później zginął z moim bratem w Łodzi. Byli rozstrzelani w jednym czasie. I tak dotarłem do „Zapory”. No, przed tym był „Grzechotnik”, tak „Grzechotnik”. „Grzechotnik” to placówkowe takie działanie trochę i później to przekształcone w ten Kedyw. A stamtąd już szedłem do oddziału, z tej placówki, w kwietniu jak była reorganizacja i „Grzechotnik” przechodził do 15 Pułku Piechoty „Wilków”. I wtedy dołączyłem do tego „Ducha”, bo tam ładnie śpiewali. Jak żeśmy się czasem... Była koncentracja i spotkaliśmy się, „Grzechotnicy” z „Duchami”, to ja podziwiałem ich śpiew.

Tomasz Sudół: A pana bracia gdzie byli? U kolumny?

Marian Pawełczak: Więc oni byli również u „Grzechotnika”, a później jak była ta reorganizacja, zostali u „Grzechotnika”, a „Grzechotnik” przeszedł „Grzechotnik” i drugi taki patrol „Smerling”. Przeszli do 15 Pułku Piechoty „Wilków”. Ja między innymi, dlaczego przeszedłem? Bo byłem w Niemczech i brat „Jur” był wcześniej w partyzantce. I później jakaś akcja u „Grzechotnika”, coś, to on mnie oszczędzał. Mówi: „O, zostań tutaj, broń czyść”. Ja myślę sobie, jak ty będziesz tak dyrygował mną, to ja się nie rozkręcę. I to był też powód oprócz tego śpiewu taki, że przeniosłem się tam do „Grzechotnika”. A później po wojnie, to już żeśmy działali wszyscy razem.

Tomasz Sudół: Ale działał pan przez pewien czas na przykład pod dowództwem braci? Albo bracia pod pana dowództwem?

Marian Pawełczak: „Jur” był dowódcą plutonu, ja byłem jego zastępcą. To już później w okresie ROAK-u, Ruchu Oporu Armii Krajowej. Ale „Jur” dużo rzeczy mnie powierzał. Jak musiał się oddalić z plutonu albo coś, to wtedy ja już. I szanował moje pomysły, z których byłem i jestem dumny do tej pory, że udało mi się z grupą w paru przypadkach przesiedzieć tak cichutko na kwaterze, mimo że była akcja, ale szczęśliwie się jakoś kończyło, że nas nie odkryli. Oczywiście z naciągniętymi zamkami broni automatycznej, palce poza cynglami, tylko przełożyć. Udawało się i to uchroniło nas, od czego? Że ktoś mógłby być zabity, inny ranny, spalone gospodarstwo, zniszczeni gospodarze, może zaarrestowani. Parę takich przypadków było i ja też tam opisuję w swojej książce.

Tomasz Sudół: A jakby pan powiedział, czy pan wie, skąd się wzięły pseudonimy pana braci?

Marian Pawełczak: „Jur” to od swojego imienia, Jerzy. „Głaz”, no nie bardzo do niego to pasowało. Ja tam Janusz do niego wołałem i koledzy wołali Janusz. Ale później, no już w ewidencji występował jako „Głaz”, to się do tego przyzwyczaiłem. Był w mojej drużynie, na początku jak taką drużynę kazał mi zorganizować komendant dla jego ochrony, był taki żołnierz „Ślipek”, ciekawe jak jego pseudonim powstał, wracaliśmy z terenu Krasnystawskiego, Wysokie, rozbroiliśmy tam posterunek... A, to jechaliśmy wtedy pięcioma samochodami. To były zdobyte na rynku Janowskim od kierowców sowieckich, zabraliśmy im te wozy. I po Wysokiem już, po rozbrojeniu posterunku, jeden samochód nawalił. I komendant mówi: „»Morwa«, spal go tam ze swoją drużyną!”. „Dobra”. A taki nowy żołnierz, który zwiął z wojska, ale był z terenu Urzędowa, to go tam niektórzy chłopcy poznali, mówi: „To ja, ja go spalę”. I już tam zapałki szykuje, nakrętkę odkręca, ja sobie myślę, Boże, on tu spowoduje jakiś wypadek. Mówię: „Chłopie, ostrożnie!”. A on już wrzucił do tego baku zapałkę, wybuch, osmalilo go całego, rzęsy, brwi, tu jęczy chłopak. Później tak było, że przez dwie doby chyba, to koledzy go prowadzili jako ociemniałego, ale zdobył pseudonim - „Ślipek”, no. Zaraz go koledzy nazwali.

Tomasz Sudół: Były jeszcze jakieś takie ciekawe pseudonimy w oddziale? Pochodzące właśnie z takich...

Marian Pawełczak: No cóż, takie powtarzające się, to były pseudonimy tygrysów, lwów, bo jakoś tak każdy chciał być tym tygrysem. Spotkałem taki pseudonim „Kmita”, w późniejszym czasie nawet nie wiedziałem, że to taki ważny człowiek, a on był z dwójki przedwojennej, jego córka do dzisiaj nie wie, czy Przybylski Henryk, to jego właściwie nazwisko, bo im tam zmieniali, on już nie żyje, ona wyszła za Szweda, dzwoni tu co raz do mnie, bardzo długo rozmawiamy, szczęśliwa, bo nikt tego „Kmita” nie pamiętał, a ja jej sporo o ojcu opowiedziałem. On był i uczestnikiem Powstania Warszawskiego, a nie wiedziała, że w WiN-ie był. Jakoś dotarła do mnie i... Jestem szczęśliwy, jak wielu ludziom mogę pomóc. Tak, jakoś pamięć mi tam pomaga w tym.

Tomasz Sudół: A jaka była zasada nadawania pseudonimów? Zazwyczaj każdy sam sobie wybierał, tak?

Marian Pawełczak: No, jak w przypadku tego „Ślipka” to koledzy podali. Czasem włączał się w to nawet i „Zapora”. Na przykład „Krysią”. „Krysią”, a właściwie ona na imię to miała Basia, tylko później komendant ją ochrzcił na Krysię. Więc jak z nią było? Ona właściwie to na prośbę komendanta jako przeszkolona, dyplomowana pielęgniarka była poproszona do oddziału, że nie ma lekarza. Był tam taki felczer Bahus, ale on tam więcej załatwiał spraw wyjazdowych, żeby zdobywać leki u kolegów swoich ze studiów, do Krakowa jeździł to... A tu brakowało takiej siostry, no i... A jej ojciec był skłonny do tego. To był też działacz taki AK-owski i on mówi: „Krysiu, jak taka potrzeba jest, to idź”. I ono biedne przyszło do tego oddziału, później tam przeżyła przecież swoje, była i aresztowana, męczona. I nie wiem, czy już na placówce, jak współdziałała z ojcem, bo ojciec ją woził do rannych z oddziału, „Nerwy”, „Szarugi”, jak byli ranni, bo oni tam w tym terenie mieszkali, w Wojcieszynie. W Matczyni właściwie, to ją woził, może już tam ten miała pseudonim, a może podała komendantowi, że chce mieć pseudonim „Seniora”, a to młoda dziewczynka. A komendant mówi: „Dziecko, »Seniora«? To wiesz, to taka poważna babcia jakaś, coś. Nie, no nie będziemy cię dekonspirować imieniem własnym, ale bądź ty »Krysią«”. I została „Krysią”. I ja do tej pory z jej córkami rozmawiam

o niej, to nigdy tam nie powiem, że Basia ich matka, tylko Krysia.

Tomasz Sudół: A jeszcze się popytam o innych dowódców partyzanckich. Bo chodzi mi na przykład, tak jak tu pan przed chwilą wspominał, o „Szarugę”. Jakim on był dowódcą?

Marian Pawełczak: On był dowódcą specjalnego oddziału do odbierania zrzutów. Zrzutów. Dyscypliny takiej u niego nie było, bo oni, żeby się przetrzucać z miejsca na miejsce, to jeździli wozami, nie chodzili pieszo, albo końmi. Zatracili trochę takiej ostrożności podczas kwaterowania i mieli paskudne wypadki. Tutaj kiedyś pod Lublinem, jak Dzbenin za ulicą Zbożową, rano doścignęli na kwatery, a tam Niemcy zobaczyli, wybili, około trzydziestu ich tam zginęło. „Szaruga” wtedy nie był obecny. Ale to, to jeszcze mniejsza. „Szaruga” podpadł dlaczego? On tam jakoś podłapał kontakt z oddziałem Satanowskiego, „Jeszcze Polska nie zginęła”. I tak, te materiały, broń, którą odbierał z rzutów, to był rozkaz melinowania tego. To nawet, tak dzisiaj to oceniając, to może był błąd, bo jakbyśmy mieli od razu taką broń, tyle amunicji, to nie musielibyśmy doskoku tych robić, chłopcy by nie ginęli, ale była taka zasada, że to na czas Powstania jest przechowywana ta broń. Tak dowództwo zdecydowało najwyższe, to musiało być. Ale później okazało się, że u Satanowskiego były te zrzutowe automaty o tej prostej takiej konstrukcji.

Tomasz Sudół: Steny?

Marian Pawełczak: Steny. Steny, kolty, plastik, tak że już wtedy podpadł troszeczkę. „Szaruga”, a później najgorzej, jak... On był, jednym z dowódców, który odbył defiladę w Lublinie po opanowaniu Lublina przez sowietów. Dostał zakwaterowanie w takim pałacyku z tymi ludźmi swoimi. No, co tam? Wszyscy jego żołnierze dostali pierwsze stopnie oficerskie, no i wykonali przykaz, żeby dołączyć do Wojska Ludowego. I oni poszli. I tam gdzie poszli, w białostockim byli. Tam ich zaczęli aresztować, z wojska wybierali przecież akowców i do Kąkolewnicy. I tam paru ich zginęło i to zwracali się do „Szarugi”, żeby ich ratował. Podobno nie za bardzo się do tego skłaniał. Został dowódcą jakiegoś pułku, a później był komendantem wojennym w Łodzi. Na samym początku, jak wykryły się te sprawy tam, z tym że on cały oddział do wojska kieruje i to, to dowództwo lubelskie, Okręg Lubelski, wyrzucili go z AK. Był wyrzucony. Tak że trochę nie bardzo.

Tomasz Sudół: A jak on miał na imię i na nazwisko?

Marian Pawełczak: Sarkisow... No miał takie chyba przez to ciągotki. Sarkisow Aleksander. Aleksander. W tym czasie, jak mojego brata mordowali w Łodzi, to on był komendantem wojennym. Podtrzymywał ten system.

Maciej Żuczkowski: No tak i jeszcze bym się chciał popytąć, bo tam na początku, jak rozmawialiśmy jeszcze tak bez kamery, bez niczego, była mowa... Wspominał pan o tym procesie, w którym zamordowano 16 żołnierzy od „Rysia” i tam była mowa o napadzie na kasę spółdzielczą czy na bank? Czy zna pan jakoś bliżej te...

Marian Pawełczak: Kasa, kasa, to było na ulicy Chopina...

Tomasz Sudół: Ale tutaj w Lublinie?

Marian Pawełczak: W Lublinie. Tak, no bo „Ryś” to działał najbliżej Lublina, bo sam pochodził z Motycza, jego ojciec był kolejarzem i tam mieli taki domek, i... Co ja miałem mówić?

Maciej Żuczkowski: O napadzie...

Marian Pawełczak: Aha, no i później był ścigany, jak weszły te nowe władze. Zaczął stronić od domu, kryć się, aresztowali rodziców, siostrę, a żonę mojego brata ciotecznego, no i wtedy trzeba było pójść znów do lasu. Do lasu, zgłaszali się chłopacy tak jak my do „Zapory”, prosiliśmy, żeby nas przejął, że tak to wyginiemy po kilku czy pojedynczo. Tak samo do „Rysia” się zgłaszali ci chłopcy i on już wziął ich tam pod swoją opiekę. Trzeba było z czegoś żyć i na tę kasę w Lublinie zaplanował napad. To było w 1945 roku już. Wszystko było opracowane jak najbardziej. Pobrali stamtąd chyba milion złotych, już mieli. Było w porządku, napatoczył się jakiś wojskowy, Kulbanowski się nazywał, no i ten zobaczył, co to się dzieje, za broń i tam chciał już aresztować, ręce do góry, zaczęła się strzelanina, Kulbanowski zginął, a „Ryś” został ranny. I później, no zaczęli aresztować, nie tyle żołnierzy, co tych, co współpracowali z „Rysiem”. To tak jak mojego wujka, że tam u niego opatrzyli go. Tak że tam niewinni ludzie właściwie poginęli.

Tomasz Sudół: A jeszcze jakby pan mógł powiedzieć, w jakich okolicznościach nastąpiło podporządkowanie na przykład oddziału „Rysia”? Bo to był duży oddział jednak liczący kilkadziesiąt osób w „Zaporze”.

Marian Pawełczak: Tak. I samodzielny, wspaniaty oddział, dużo akcji robił „Ryś”, prowadził oprócz tego zajęcia na szkole tej podchorążówce, którą zorganizował, był jednym z organizatorów, ale później inspektorat WiN-u... Jeszcze to nie był inspektorat WiN-u, bo już w 1945 roku „Ryś” się podporządkował „Zaporze”. To znaczy, w jaki sposób, że były uzgadniane akcje, które wspólnie by się robiło. No i, że wtedy będzie taka łączność bliższa w rozeznaniu w terenie. „Ryś” to był tym pierwszym oddziałem, który się podporządkował. Później w lipcu 1946 roku zrobiliśmy wymarsz, żeby „Rysia” oddział przenieść na teren „Uskoka”, a „Uskoka” tutaj na ten teren koło Lublina, żeby po prostu i ludzi wtedy... Bo już było bardzo duże rozeznanie. I były prześladowane rodziny. A poza tym, jak na terenie „Uskoka”, to się zaogniała taka zemsta między żołnierzami „Uskoka” a tymi ubowcami, więc chciał to „Zapora” uporządkować. I wtedy „Uskok” się podporządkował, z tym że pierwsze spotkanie nasze to napotkało na koncentrację tych komunistycznych sił. Około 800 żołnierzy, ormowców, zomowców atakowało nas, konkretnie ostatnia walka z nimi, bo najsamprzód to była z „Rysiem”, później z nami. To było nas pięciu konnych i dwudziestu dwóch... Nie, siedemnastu rowerzystów „Uskoka”, a dwudziestu dwóch, zginął „Zbyszek”, zginął „Lew” od „Uskoka”, ale żeśmy się wycofali. Udało się. I później żeśmy poszli za San i tam z kolei podporządkowały się już samoczynnie oddziały „Lisa” i „Rusinka”. Dlaczego? Bo oni byli oddziałami NSZ-owskimi. NSZ-owcy wiedzieli, co ich czeka, bo już mieli walki z komunistami za okupacji, których myśmy nie prowadzili i dużo się wycofało, wyjechało za granicę i oni byli bez dowództwa. I bardzo się ucieszyli, że zalegalizują po prostu swoją działalność jako podporządkowani „Zaporze”. Poprzez „Uskoka” pośrednio podporządkowane były oddziały, najsamprzód „Jastrzębia”, jak zginął to „Żelaznego” i „Orдона”. Tak że to było.... No i jeszcze była taka grupa koło Piask, tam, gdzie później „Lwa”... „Lwa”, nazwiska jego nie pamiętam.

Maciej Żuczkowski: A na ile ocenia pan liczebność tych oddziałów w takim szczytowym okresie?

Marian Pawełczak: No, po 200 żołnierzy. Czy to za Niemców, czy okres ROAK-u, tych, co w terenie gotowi do walki. A zaplecze nasze to sięgało, no z 1,5 tysiąca, czy prawie 2 tysiące, wszystkich ich tam wykazuje w takim skorowidzu pani Kurek. Pozbierała.

Maciej Żuczkowski: I mogę jeszcze dwa, dosłownie ostatnie pytania?

Marian Pawełczak: Proszę. Już jakoś mi odeszło.

Maciej Żuczkowski: Ale to już nie będę pana dłużej męczył. Jeszcze dwa pytania mam, może coś jeszcze tam kolega coś będzie dopytywał, ja bym chciał jeszcze... Bo pan mówił, że przez dłuższy czas był pan też przy „Uskoku”? Żeby pan powiedział coś o „Uskoku”, jakim człowiekiem był?

Marian Pawełczak: A ja takie wrażenie odnosiłem, jakby był takim nauczycielem, spokojnym, flegmatycznym człowiekiem i kiedyś mu powiedziałem, że: „Panie...”. Nie wiem, jak go tam tytułowałem. Chyba porucznik. „Panie poruczniku, mówię, o panu, to tak mówią, że takie ostre tu działania pan prowadzi, a pan swoim wyglądem, to taki pana cechuje spokój, taki pan zrównoważony”. On mówi: „No, nie wszystkie akcje ja przeprowadzam, a poza tym nie raz z bólem serca, ale trzeba wrogów nauczyć moresu”. Mówi: „To tak się zdarza”. No i chętny do nauki. Tak jak mówiłem, żeśmy sobie przypominali i był ucieszony. I jak to przed wojną było, że nie tylko zmiana podręczników, ale w poszczególnych gimnazjach tematycznie to były podobne te prowadzenia. Ja w Kraśniku, on w Lublinie, chyba uczęszczał do Zamojskiego. Do gimnazjum Zamojskiego. Tośmy sobie całego Alpuhara przypominali wiersz, taki na pamięć żeśmy się uczyli, jak Hiszpanie tam zdobywali twierdzę Granada i ja jeszcze go teraz pamiętam, ten wiersz. I wyjątki z „Maratonu”: „Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje, Niech sobie powróz okręci na szyję...” i tak dalej. Tak że to człowiek, który, no wyglądał... Pokojowej pracy. Tak, że tak walka to była przymusowa, musiał się bronić, ale więcej widać było w nim dążenia do spokoju, do normalnego życia. Podobał mi się „Uskok”, zresztą i ja mu się chyba podobałem, bo mnie namawiał, żebym wstąpił do jego oddziału, że on nie ma oficera żadnego, z tym że mu powiedziałem, jeżeli komendant się zgodzi, ale „Zapora” się nie zgodził.

Maciej Żuczkowski: I jeszcze to moje, tak jak powiedziałem, ostatnie pytanie. Pan był członkiem ochrony takiego najbliższego sztabu komendanta „Zapory”?

Marian Pawełczak: Tak.

Tomasz Sudół: I w jakim okresie, od kiedy? Jak długo i jak wyglądały jak gdyby pana zadania? Też ewentualnie, kto tam w tym sztabie był?

Marian Pawełczak: Od 3 maja 1946 roku komendant zebrał nas ośmiu starych żołnierzy. To był „Zimny”, „Żorż”,

ja, „Misio”... No już wszystkich... A, „Zbyszek”, ten adiutant „Zapory”. Ośmiu, miał przygotowane gwiazdki i przed frontem, któregoś tam plutonu na Grądach oznajmił, ogłosił, że jesteśmy awansowani do pierwszego stopnia oficerskiego podporuczników, sam nam poprzyczepiał te gwiazdki. I wtedy podzielił funkcje. To znaczy, mnie przydzielił do ochrony sztabu. Kazał mi zorganizować taką drużynę. Miałem swoich ludzi jeszcze tam z plutonu „Jura”, bo w międzyczasie to raczej plany były inne, żebym ja przejął pluton „Jura”, bo „Jur” zginął, ale ja wiedziałem, że jako dowódca plutonu, muszę prowadzić akcje w swoim terenie. No, trochę to takie niedogodne, prawda? Trzeba było różnie tam zadziałać, tępić tych złodziei, rabusiów różnych i powiedziałem, że nie. No i przejął wtedy „Miś” po „Jurze”, ale ja sobie z tych chłopców dobrałem dziesięciu jako taką drużynę. I zawsze żeśmy kwaterowali w pobliżu komendanta. I zawsze żeśmy pilnowali komendanta, nawet jak tam szedł za swoją potrzebą, to w pobliżu tam gdzieś ktoś stał na warcie. Ale mnie trochę denerwowało, że chłopcy hataśliwi byli, lubili sobie wypić tam po kryjomu i ja ich tam trochę doprowadzałem do porządku. I zaczęli mi się później wysmykiwać. Oczywiście, czy zgodzę się, żeby przeszli do „Misia”? U „Misia” była taki trochę luźniejsza dyscyplina, „Miś” sam lubił wypić. Chłop 120 kilo wagi, to jak on wypił, to nie znać było po nim. I tak po kolei szli. No i w końcu komendant zrezygnował z tej drużyny, tylko utworzył taki 5-osobowy skład ochrony, to już ja dowódcą nie byłem, bo przedtem byłem dowódcą drużyny tych chłopców, podlegali mi. A później to była już grupa oficerów. „Zbyszek”... nie, „Zbyszek” już nie żył. „Zawada”, ten następny adiutant, „Zawada”. Były plany i w stosunku do mnie, jak zginął „Zbyszek”, że ja zostanę adiutantem komendanta, ale wykręcałem się, jak mogłem i nie byłem. Bo to służba taka, która mi mniej tam odpowiadała. No i wtedy nas pięciu oficerów, to jest „Zawada”, „Wrzos”, ja... No, „Ślipek” to nie był oficerem, ale był potrzebny tam, tak że łącznie pięciu konnych, „Zapora” na szóstym koniu i tak żeśmy tam z komendantem jeździli po terenie. Ja z RKM-em jeździłem czeskim i byłem zadowolony z siebie, bo nieraz... Tam łatwo zamek wypadał, to jak mi wypadł, to myślę sobie: „Będę z konia złąził?”. Zdołałem nachylić się, zamek podnieść i z powrotem dalej jechałem.

Maciej Żuczkowski: Jeszcze przepraszam, że przeciągam, ale jeszcze przyszło mi jedno takie pytanie do głowy. Czy zapytał się pan kiedyś komendanta, skąd jego pseudonim? Czy on mówił coś na ten temat? Skąd swoje... Bo on miał też pseudonim wcześniej „Odra”, a później był „Zapora”.

Marian Pawełczak: Nie, jego nie zapytałem. Tak, był „Odra”, „Zapora”, ale o „Odrze” to żeśmy raczej nie wiedzieli, tylko już „Zapora”. A jeszcze wcześniej, to miał z dziecięcych lat pseudonim „Ryż”. I to było takie ogromnie śmieszne, opisuje jego tam kolega ze szkoły „Baran” w takiej swojej książce, skąd powstał ten pseudonim, że matka coś tam piekła... Nie, ryż chciała gotować i wysłała jego do sklepu po cynamon, bo cynamon potrzebny tam do zapachu i on szedł, ale po drodze mu się coś pokręciło ta nazwa i w końcu przyszedł do tego sklepu i mówi: „Ja poproszę, co ja mam, cynimum i kilo reżu”. A tam koledzy podsłuchali to, bo taka tendencja była, ryż powiedzieć, to takie popularne mocno, to zmienić jakoś. Reż. I sobie tak zmieniali. I on reżu, no i to oni podchwycili i dali mu pseudonim „Reżu”.

Maciej Żuczkowski: Czyli o tym nie mówił, skąd pseudonim „Zapora”?

Marian Pawełczak: Nie, nie, nie i nie pytaliśmy. Dla nas to była taka normalna sprawa, że trzeba było pseudonimem się postugiwać. Broń Boże, nawet jak znali się koledzy, to nie wolno było nazwiskami tam, czy...

Maciej Żuczkowski: A jak do niego zazwyczaj mówiliście? Panie komendancie?

Marian Pawełczak: Tak, panie komendancie.

Maciej Żuczkowski: I czy były jeszcze takie próby jakiegoś skrytobójczego zamordowania „Zapory”?

Marian Pawełczak: Ja tylko o jednym takim przypadku wiem, że maszerowaliśmy gdzieś jakimiś takimi polami i nagle z drugiej strony... To 1945 rok, sporo nam z wojska przychodziło. Z wojska, a wtyczki pewnie i z UB. I naprzeciwko pokazała się tyraliera wojska. Wtedy pogotowie, padnij, dowódcy do porozumienia i ja się patrzę, a jeden z tych takich nowo przyjętych nie ukierunkowuje swojej broni na tych, w kierunku tego wojska, tylko na komendanta i patrzy na komendanta. No i ja chyba do „Misia” powiedziałem: „»Misiu«, patrz, co tu się dzieje?”. „Misiu” się zorientował, podbiegł, przydeptał mu rękę z tym automatem. I aresztowaliśmy go, przepytania, miał zadanie wykończyć „Zaporę”. I sobie taką okoliczność znalazł, uważał, że dogodną dla siebie.